

ERNEST BRYLL

KOLEDA-NOCKA

muzyka **WOJCIECHA
TRZCIŃSKIEGO**



**TEATR
MUZYCZNY
W GDYNI**

Wydawnictwo
Dokumentacji
ZASP


**TEATR
MUZYCZNY
W GDYNI**

Dyrektor

Kierownicy muzyczni

Kierownik literacki

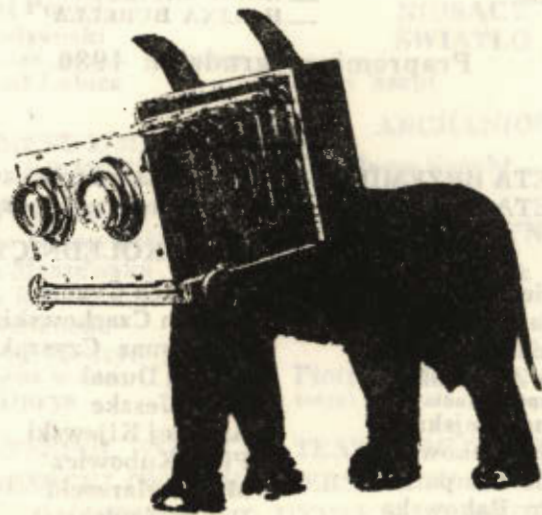
ANDRZEJ CYBULSKI

ZBIGNIEW BRUNA

RYSZARD DAMROSZ

WOJSŁAW BRYDAK

Ernest Bryll
KOLEDA-NOCKA
muzyka Wojciecha
Trzcińskiego



Prapremiera: grudzień 1980

Ernest Bryll
muzyka Wojciecha Trzcńskiego

KOLEDA — NOCKA

REALIZATORZY

Inscenizacja i reżyseria — KRZYSZTOF BUKOWSKI
Kier. muzyczne — WOJCIECH TRZCŃSKI
Scenografia — MARIAN KOŁODZIEJ
Ruch sceniczny — BOŻENA KOCIOŁKOWSKA
Kier. Zesp. Wokalnego — HENRYK CZYŻEWSKI

Asystent reżysera — DANIEL SAULSKI
Współpraca — ANNA SAPIEGO
Asystent Kier. Zespołu
Wokalnego — JERZY SZEPP

Inspicjent — ANNA SAPIEGO
Sufler — HALINA BUBELLA

Prapremiera grudzień 1980

OBSADA

KOBIETA BRZEMIENNA — Teresa Haremza (gościnnie)
KOBIETA Z OSIEDLA — Krystyna Prońko (gościnnie)

ANIOŁY

Ewa Gierlińska
Urszula Polanowska-
-Tomaszewska
Bożena Zawisłak
oraz adeptki Studia
Grażyna Drejska
Beata Kolankowska
Grażyna Lamparska
Elżbieta Rakowska
Jolanta Tadla

KOLEDNICY

Wojciech Cygan
Marian Czarkowski
Waldemar Czyszak
Maciej Dunal
Jerzy Jeszke
Andrzej Kijewski
Piotr Kubowicz
Marek Marzecki
Daniel Saulski
Józef Warecki
oraz adept Studia
Krzysztof Arsenowicz

KOBIETY Z MIASTA NOCNE

Anna Dauksza
oraz adeptki Studia
Brygida Dworok
Lidia Michałuszek
Grażyna Mścichowska
Zdzisława Specht
Maria Więckowska
Jolanta Zaworska

JADĄCY O ŚWICIE DO PRACY

Jan Chmaj
Krzysztof Kolba
Edward Malinowski
Andrzej Marciniak
Andrzej Popiel
Jan Wodzyński
oraz członek zespołu wokalnego
Zygmunt Lebica

KOBIETY Z MIASTA DZIENNE

Wanda Dembek
Elżbieta Drzewiecka
Sylvia Maszewska
Izabela Rytwińska
Zofia Świeboda
Krystyna Wodzyńska
oraz adeptka Studia
Maria Durys

Oraz—ZESPÓŁ WOKALNY TEATRU MUZYCZNEGO,
AKADEMICKI CHÓR UNIwersytetu GDAŃSKIE-
GO — „ORKIESTRA DO UŻYTKU WEWNĘTRZNE-
GO” pod kierownictwem BRONISŁAWA OPALKO.

JEDENASTU

Jan Chmaj
Leszek Kowalski
Zdzisław Latoszewski
Bogumił Majchrzak
Andrzej Popiel
Marian Rożek
Krzysztof Stasierowski
Jan Wodzyński
Zdzisław Tygielski
oraz członkowie zespołu wokalnego
Jerzy Dębowski
Zygmunt Lebica

POETA

Jarosław Kuszewski
(gościnnie)

NIOSĄCY ŚWIATŁO

Jerzy Szepf

ARCHANIÓŁ

Zdzisława Specht
(adeptka Studia)

DZIEWCZYNA

Lidia Michałuszek
(adeptka studia)

CHŁOPIEC

Piotr Siciński
(adept Studia)

Kołęda — nocka

Można żyć tymczasowo, nie można tymczasowo umrzeć, tak jak nie można mieć tymczasowego losu. Ta myśl musi nurtować społeczeństwo niespełnionych nadziei, które żyło i żyje w niekończącym się oczekiwaniu. Gdzieś to społeczeństwo idzie, zmierza, lecz z upływem czasu cel staje się coraz bardziej niedopowiedziany, mglisty, względny — i daleki, coraz rzadziej poważnie się o nim mówi, a jednocześnie coraz ważniejsze staje się pytanie: jak się idzie, jak się zmierza?

Coś co miało być etapem, krótką międzyepoką, staje się rzeczywistością i losem przynajmniej jednego pokolenia; i podczas rachunku sumienia odechciewa się już żartów. Pojawia się pytanie nie o przyszły portret zdobywcy dalekiego celu (być może człowieka bardzo szczęśliwego), lecz o obraz człowieka, który idzie, zmierza, niepewny dokąd; człowieka zagrożonego schizofrenią mówienia czego innego prywatnie, czego innego publicznie, czego innego w kraju, czego innego za granicą, czego innego dziecku, czego innego nauczycielowi i zapewne czego innego podczas spowiedzi lub bezsennej nocy, miotającego się między tymi sprzecznościami z jednym rzeczywistym hasłem: „jakoś przeżyć” i zarazem gruntownie, głęboko zbuntowanemu przeciw myśli, iż miałby przejść do historii z takim właśnie transparentem w ręce.

Tacy ludzie, na pozór przypisani do swych ciasnych mieszkań, kiepskich zapłat, małych przyjemności i dozwolonych myśli rodem z telewizji, a w gruncie rzeczy boleśnie upokorzeni tym przypisaniem, odczuwający je jako obrazę, protestujący i walczący przeciw niemu, są zbiorowym bohaterem najnowszej sztuki Brylla „Kołęda-nocka”. Jedną z najważniejszych metafor tej sztuki przedstawia ludzi, którym w noc wigilijną, w noc rodzącej się nadziei urosły skrzydła, przedstawia tych właśnie ludzi udreńczonych ponad miarę, upominających się o godność. Rzecz w tym, że każdemu wyrosło tylko jedno skrzydło, są przecież ludźmi nie aniołami; czy jedno wystarczy, by latać? Bryllowi chodzi jednak o co innego, o świadomość człowieka, który przynajmniej raz poczuł wyrastanie skrzydeł.

Po „Rzeczy listopadowej”, po dramatycznych perypetiach „Kurdesza”, zakończonych urzędowym poleceniem zdjęcia przedstawienia z afisza, po sztuce „Kto ty jesteś?” Bryll po-

wraca jako dramaturg do traktowanej wprost współczesności. Powraca po długiej przerwie — i powraca w innej formie. Wymienione przed chwilą sztuki autor pisał z myślą o scenie teatru dramatycznego. „Kołęda — nocka” zespala się z muzyką, która powiększa dobitność wierszy, wyrazistość, nadaje im o wymiar więcej; która zarazem narzuca sposób inscenizowania metaforyczny, poetycki, o dużej skali. Gdyby „Kołędzie” odjąć warstwę muzyczną pozostałby jedynie zbiór wierszy i skromny zarys akcji opartej na swobodnym skojarzeniu z jasełkami i — szerzej — z obrzędowym teatrem religijnym — i nie byłaby to już, w sensie teatralnym, ta sama sztuka.

„Kołędę — nockę” pisał Bryll latem i jesienią, w niejednym rozwiązaniu inspirowany przez pracującego nad gdyńską inscenizacją Krzysztofa Bukowskiego i kompozytora Wojciecha Trzcinańskiego; być może ta muzyczna „Kołęda” okaże się pierwszą sztuką, która odnosi się wprost do wielkiej przemiany świadomości i postaw zapoczątkowanej w sierpniu, w Gdańsku. Jasełka Brylla, dalekie od dobrotliwości, ciepła i ciszy nocy wigilijnej rozgrywają się między prawdziwą, dosłowną codziennością, a szerokim oddechem poezji, tak jak mówi już o tym motto „Kołędy”.

„Marzą się jeszcze nam chałupy w śniegu
Takie przeczyste, takie z kalendarza,
Kurdesz z zadymką i sanie w szeregu...
Poeta słowa na słowa przetwarza,
Buduje polską zimę. A tu siąpią deszcze,
Gołoledź, chłopci na rowerach jadą...”

W pierwszej części tego programu czytelnik znajdzie wiersze Brylla śpiewane w przedstawieniu; druga część inne, nie wykorzystane wprawdzie w sztuce, lecz razem z poprzedzającymi tworzące ten sam klimat emocjonalny i snujące ten sam wątek myślowy.

Wojśław Brydak



Nocy surowa Zła ~~Adwentowa~~

Nocy surowa
Zła
Adwentowa
Gdzie ogień krzepnie w kamień.
Ty — najgroźniejsza
Ty — najmroźniejsza
Grzechu naszego znamię.

Czego czekamy
Czego wołamy
W najtajemniejszej ciemności
Ognia żywego
Obiecanego
Prosimy z głębokości.

Drzewo stygnące
Rozpekające
Od mrozów drżący ptakowie
Kolędujemy
Wywołujemy
Słowo się z słowa wypowiedz.

Wody okute
W lodowy smutek
Okonie dyszące ciężko
Krzyczymy niemo
Pod falą ciemną
Skończ się czekania męko.

Niech się zapali
Mrozy obali

Słowo jak gwiazdy zorza
Niech nam zawieją
Z nową nadzieją
Buchnie kolędy pożar.



I tak powoli Polska nam się zmienia

I tak powoli Polska nam się zmienia
Z panny pszenicznowłosej w chabrowej sukience...
Czy to światła nam braknie?

Czy też więcej cienia
Ma ta kobieta w oczach. Czy te grube ręce
O palcach krótkich, takich jakich trzeba
Żeby udźwignąć siatkę z półbochenkiem chleba
Z kawałkiem kiszki, z proszkiem do prania
Konserwą rybną, tym co do dostania...
Czy ten szeroki tyłek kartoflany
Plamy żłaków w kolejce wystanych
I rozpacz, co jak ogień z pokory wybucha
I krzyk aż drą się usta od ucha do ucha
I tępa chwila drzemki przed telewizorem
I smród mydlin i śmieci po domach wieczorem
Czy to ona?

Co? Zasnąć lepiej, zamknąć oczy
Zatkać uszy książkami gdy wpólnoc — wpólnoc
Przez rozkopany trotuar się toczy
Żeby znowu nałowić w swoje siatki życie...



Co u nas?

Co u nas? Cicho i jeszcze raz cicho
Nawet się góry do snu układają
Grzbiety swoje w równinę długą przeciągając
Co u nas? Cicho i jeszcze raz cicho...

Co u nas? Pusto i jeszcze raz pusto
I ludzie patrząc taki uśmiech mają
Jakby im twarze zmyto brudną chustą
A serca im pod gardłem dyszały jak zajac.

Co u nas? Skromnie i jeszcze raz skromnie
Z takim wysiłkiem nogę za nogą stawiamy
Że krok najmniejszy byle był udany
Aż oddech nam zapiera. Niby lot ogromny...



A ty dziecko śpij

Po co tutaj stoisz i na domy patrzysz?

— Pokój mego dziecka chciałbym zobaczyć.

A ty dziecko śpij, jak najdłużej śpij
Słabe, małe, nie wstań za wcześniej
Bo jesteśmy wciąż w tej podróży — śpij
Od mieszkania do mieszkania w tym mieście.

Kiedy będziesz miała dla siebie mieszkanie?

— Nie wiem. Przez lat siedem już czekamy na nie.

A ty dziecko śpij, jak najdłużej śpij
Słabe, małe, nie wstań za wcześniej
Bo jesteśmy wciąż w tej podróży — śpij
Od mieszkania do mieszkania w tym mieście.

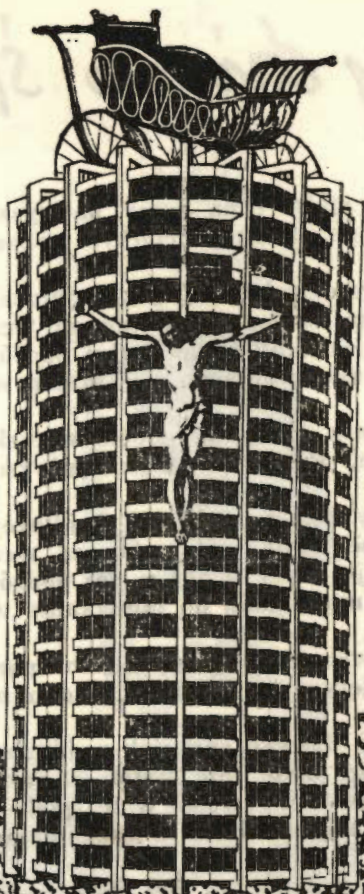
Gdzie postawisz matko kołyskę do spania?

— W wynajętym kącie. W nieswoim mieszkaniu

A ty dziecko śpij, jak najdłużej śpij
Słabe, małe, nie wstań za wcześniej
Bo jesteśmy wciąż w tej podróży — śpij
Od mieszkania do mieszkania w tym mieście.

W maleńkim pokoju tak jak Polska szarym
Rozwieszę pieluszki jak szumny transparent

A ty dziecko śpij, jak najdłużej śpij
Słabe, małe, nie wstań za wcześniej
Bo jesteśmy wciąż w tej podróży — śpij
Od mieszkania do mieszkania w tym mieście.



Niechaj w murach nic nie płacze

Szafo, szafa rozłożysta
Weź nas w nocy w swą opiekę
I ty też podłogo czysta
Bądź nam słońcem i uśmiechem.

Łóżko nasze niewygodne
Zmień się w skrzydła do latania
I ty świeczko tłać ogniem
Wytrwaj z nami aż do rana.

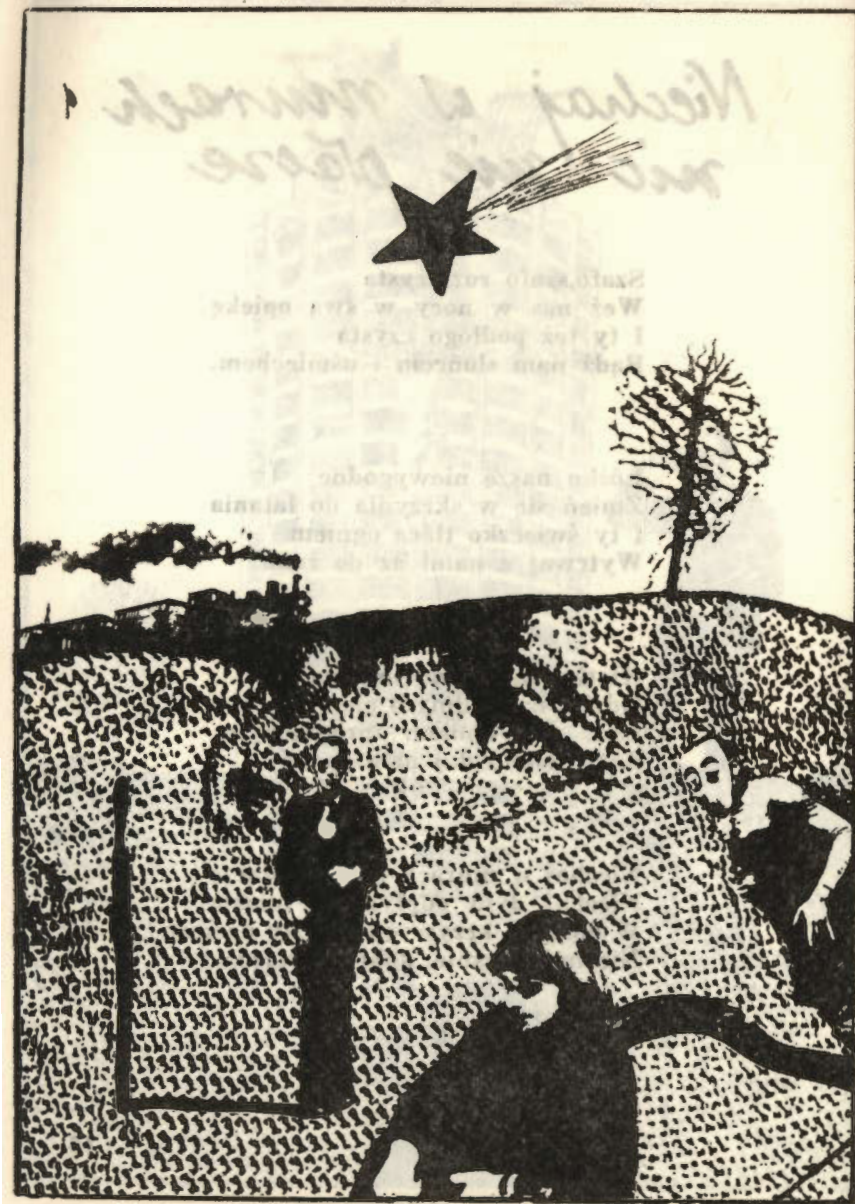
Klatko nasza zawieszona
Gdzieś na siódmym piętrze bloku
Bądź nam domem upragnionym
A ty windo daj nam spokój.

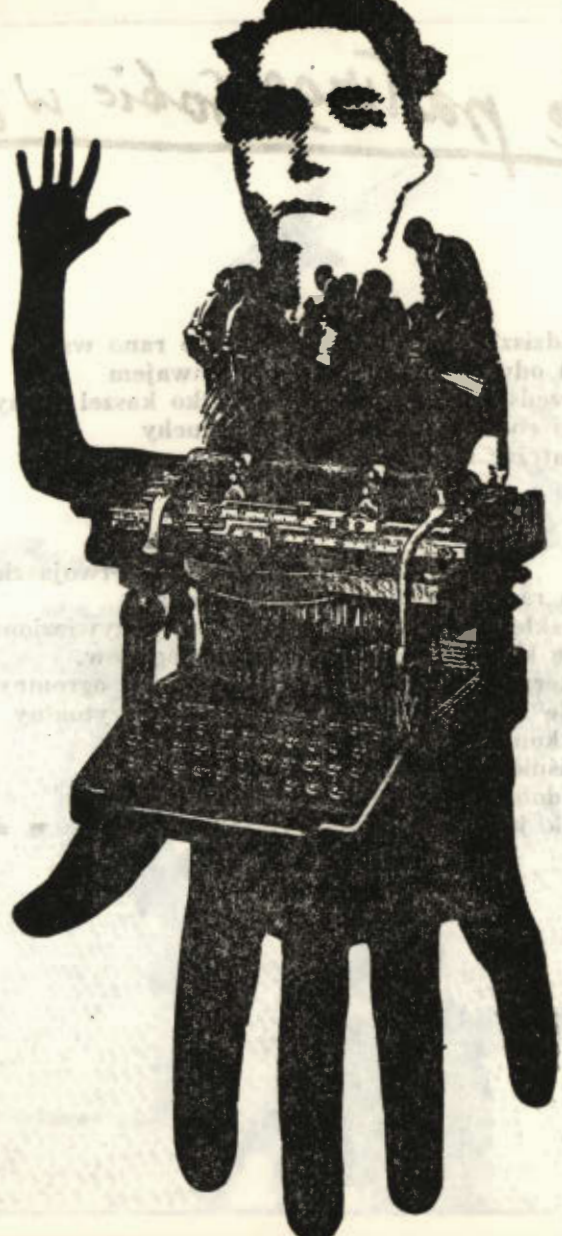
Niechaj w murach nic nie płacze
Niechaj dym odpłynie z miasta
W domach krzywych jak zły pacierz
Niechaj błysnie dobra gwiazda.

Nie patrzę sobie w oczy

Co widzisz? Nic nie widzę. Bardzo rano wstaję
Potem odwożę dzieci daleko tramwajem
Do przedszkola. Co słyszysz? Tylko kaszel suchy
I ludzi co o świcie stąpają jak duchy
Nie patrząc sobie w oczy.

Gdzie jest twoja ziemska
Twoja radosna Gwiazda Betlejemska?
A w sklepie. Widać światło. Może przywiezione
Trochę kielbasy, żeber, wołowych ogonów.
Tam teraz centrum gwiazdy. I stamtąd ogromny
Ciągnie się pod domami, senny, nieprzytomny
Ogon komety. Człowiek do człowieka
Przyciśnięty. I każdy niecierpliwie czeka
Żeby dobić do światła co nad ładą płonie
I blask jak kawał mięsa chwycić wreszcie w dłonie.





Panie motorniczy

**Panie motorniczy jedź pan powolutku
Jeszcze wszyscy we śnie schowani jak w smutku
Niechaj choć w tramwaju pośpią sobie dłużej
Stuletnie jak ptaki czekające burzy**

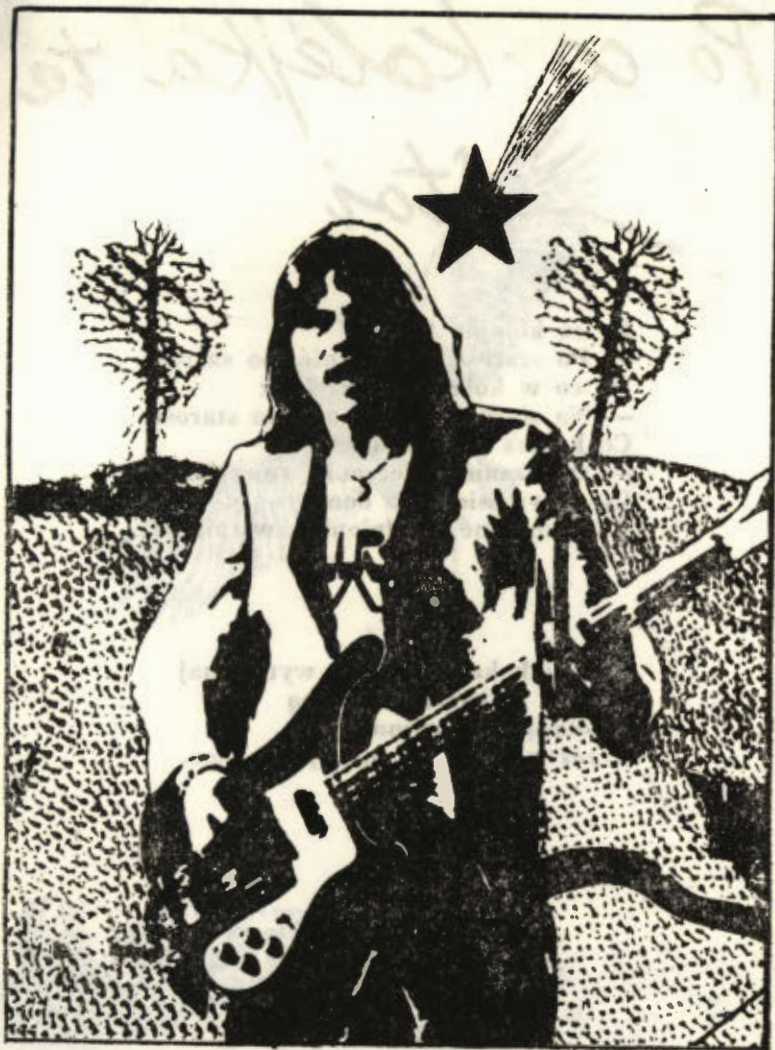
**Niechaj jeszcze cisza chwilę w nich dojrzewa
Niechaj ich nie ziębi jesienna ulewa
Zanim się poderwą jak ptaki spłoszone
I polecą ciężko
Każdy w inną stronę...**



Po co kolejka ta stoi

Po co kolejka ta stoi
— Po szarość, po szarość, po szarość
Na co w kolejce tej czekasz
— Na starość, na starość, na starość.
Co kupisz gdy dojdiesz
— zmęczenie, zmęczenie, zmęczenie
Co przyniesiesz do domu
— Kamienne zwątpienie, zwątpienie...

Bądź jak kamień, stój, wytrzymaj
Kiedyś te kamienie drgną
I polecą jak lawina
Przez noc, przez noc, przez noc.



Z gitarą chłopcy idą

Z gitarą chłopcy idą tacy naiwnie młodzi
Że nie zapyta żaden jak po tej ziemi chodzić

Z piosenką wesolutką
Co w radiu ją nadają
Idą chłopcy szukają
Dla siebie miejsca w kraju.

Ogieniek papierosa twarz im oświetlił miękko
Niosą swoją gitarę jak Gwiazdę betlejemską

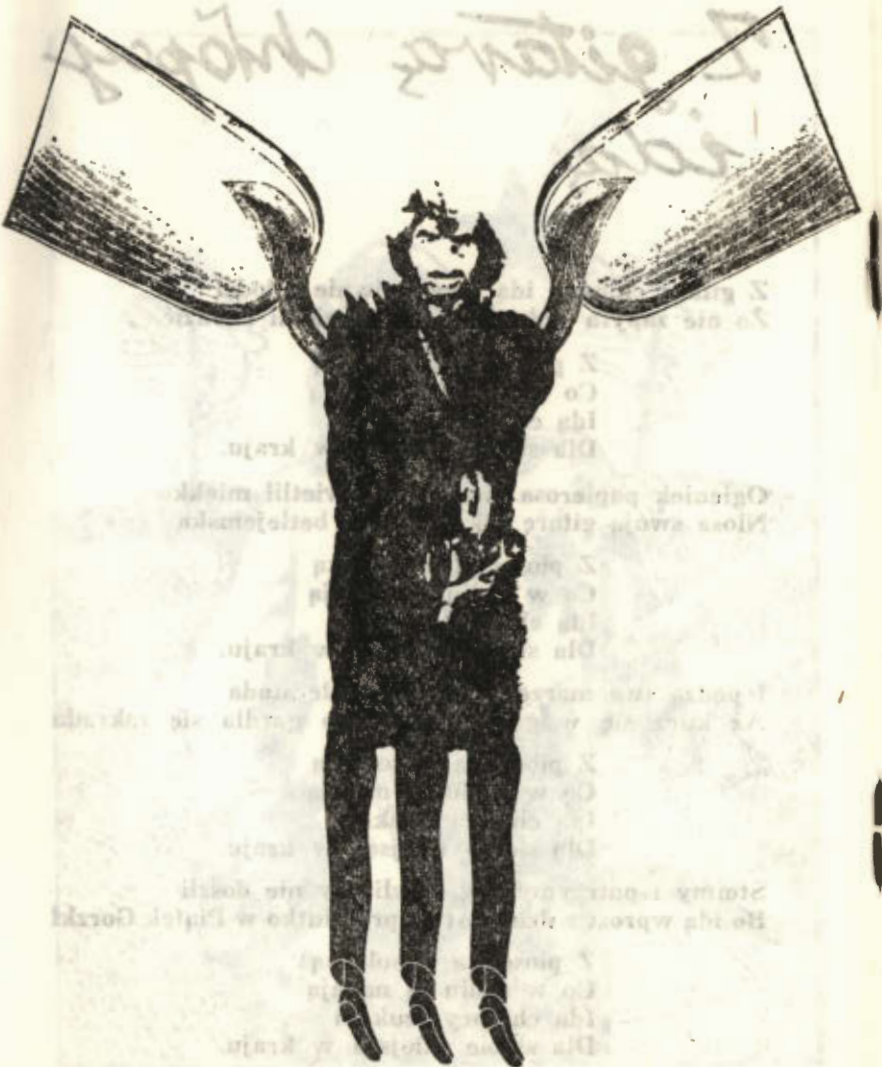
Z piosenką wesolutką
Co w radiu ją nadają
Idą chłopcy szukają
Dla siebie miejsca w kraju.

I pędzą swe marzenia niby wesole stada
Aż kurz się w górę wznosi, do gardła się zakrada

Z piosenką wesolutką
Co w radiu ją nadają
Idą chłopcy szukają
Dla siebie miejsca w kraju.

Stoimy i patrzymy czy doszli czy nie doszli
Bo idą wprost z dzieciństwa prościutko w Piątek Gorzki

Z piosenką wesolutką
Co w radiu ją nadają
Idą chłopcy szukają
Dla siebie miejsca w kraju.

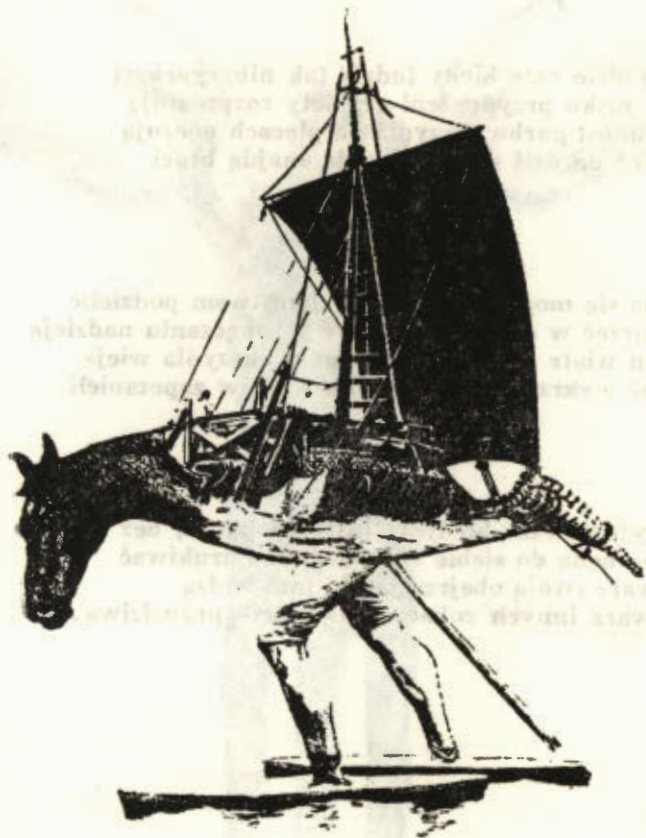


Przyjdzie czas

Przyjdzie czas kiedy ludzie tak niby garbaci
Tak nisko przyduszeni grzbiety rozprostują
I zamiast garbu skrzydła na plecach poczują
I choć do dziś samotni nagle znajdą braci

Będą się mogli słowem nie kłamstwem podzielić
Spojrzeć w oczy — zobaczyć w zmęczeniu nadzieję
I ten wiatr zrozumieją co im w skrzydła wieje
Choć o skrzydłach od wieka wieków zapomnieli

Przyjdzie czas kiedy w lustro popatrzą bez wstydu
I nie będą do siebie chrząkać, podmrukiwać
I twarz swoją obejrzą jak ją inni widzą
I twarz innych zobaczą. Nareszcie prawdziwą...



Jadą do pracy

Jadą do pracy jeszcze na wpół we śnie
W tej niejasnej szarości tak bardzo zmęczeni
Ze są jak obojętna, zimna gruda ziemi
Bo tak już bardzo późno choć jeszcze tak wcześnie

W kieszeni chleb ze smalcem ściśnięty boleśnie
W kawał gazety gdzie każda litera
Tak rozmazana, że nie dojdiesz teraz
Czy to już bardzo późno choć tak niby wcześnie

Jadą, czekają słowa lecz wokół milczenie
Choć w pomiętych gazetach wielkie o nich pieśni
Budzą się. Twarze mają ciężkie jak kamienie
Bo to już bardzo późno, choć niby tak wcześnie

* * *

Taki jest nieskłamany i najbardziej pewny
Polaków własny portret. Chociaż nikt z nas nie śmie
Spojrzeć w te twarze i zapytać siebie
Czemu tak bardzo późno choć niby tak wcześnie
Czemu tak bardzo późno
Czemu



Idziemy sami Niosąc pytanie

Przez śnieg grudniowy
Przez deszcz lodowy
Przez świat śmiertelnie biały
Idziemy sami
Niosąc pytanie
Kto jesteś
Polak mały

Nad nami gwiazda
Niebardzo jasna
Wiatr nas za gardło ścisnął
Chrypiąc śpiewamy
Odpowiadamy
Ta ziemia
Mą ojczyzną

Takie pytania
Bolą jak rana
Kto z was odpowie szczerze
Myśmy zmęczeni
Sami nie wiemy
W jaką to Polskę
Wierzyć



On pukał do drzwi naszych

On pukał do drzwi naszych. A my zatajemi
Z zaciśniętym oddechem siedzieliśmy w ciszy
I każdy z nas udawał — pukania nie słyszy
On pukał do drzwi naszych. A my przytuleni
Do betonowych ścianek naszego mieszkania
Do mebli z takim trudem znalezionych w sklepach
Do makatek co kryły na tynku spęknięcia
Chcieliśmy mieć chwilę spokoju...

On czekał

Przez drzwi z cieniutkiej dykty słycać jak waliło
Jego serce. Nierówno. Jakby zadyszane
Pewno dlatego, że miał w serca ranę
Albo może zwyczajnie winda nawaliła
I szedł pieszo na piętra...

Jak my włąziliśmy

Z tą ciężką, szafą, wersalką i stołem
On dyszał teraz — jak my dyszeliliśmy
Żeby zamienić ściany tak więziennie gołe
W miękkość mieszkania...

— Panie, może potem

Jak kurz zedrżemy z podłóg. Jak wróci ochota
Zobaczyć kogoś.

Nie stój nam za drzwiami

Nie człap po nocach pustymi schodami
Nas teraz w domu nie ma. My nie wiemy sami
Czy tam w sobie jesteśmy...



Chociaż to ledwo przedświt

Chociaż to ledwo przedświt
Chociaż jeszcze ciemno
Ale ty, ale ty
Nie opuszczaj nas gwiazdo promienna.

Słabi jesteśmy, mali
Nie ujdziemy wiele
Ale tyś, ale tyś
Nasze światło i nasze wesele.

Ty nam drogę w ciemności
Blaskiem przeorywaj
Chociaż my, chociaż my
Ustanjemy to ty nie spoczywaj.

Na mrozach nas ogrzewaj
I w upałach ochładzaj
Kiedy nas, kiedy nas
Zdradzą inni, to ty nas nie zdradzaj.

Choć nas przekleli wszyscy
To ty nas ukočaj
Pomóż nam, pomóż nam
Płynąc z tobą choć chwilę w obłokach.

Bądź przy nas w tej ostatniej
Okropnej godzinie
Zapał nam, zapał nam
Bellejemskie najświętsze twe imię.

Bądź dla nas ciepłą gwiazdo
Bądź wierniejsza niż matka
Ogrzej nas, utul nas
W długiej drodze nam świeć do ostatka.

Wszyscy coście dziś biedni

Wszyscy coście dziś biedni
Co jecie chleb powszedni.

Ci co gorzko płaczecie
Ci co drogi nie wiecie.

Ci co jesteście sami
Od bólu obłąkani

I wy co bez uśmiechu
I wy z brudu i grzechu.

I maleńcy nieważni
I żyjący w bojaźni

I wy życiem zmęczeni
Otepieni cierpieniem

Pójdźcie za naszą gwiazdą
Pójdźcie w jasności jasność.

Niech to światło ogromne
Stanie się waszym domem.

Niech w promieniach tej gwiazdy
Ręce ogrzeje każdy.

Niech odetchnie wolnością
Pod jasności jasnością.



Wronyca
dobranoc

Dobranoc miasto sadzą osypane
O czym śnią ci co wstają najwcześniejszym ranem
Co chcą ich ręce gdy jak oderwane
Od ciała — leżą w ogromnym zmęczeniu
Co widzą oczy w tępych zapatrzeniu
Co powtarzają usta. Jakie nowe słowo
Sączy się przez strapienia dolinę jałową
Co mówią, co chcą mówić?

Zanim obudzeni
Krzykiem budzików wstaną spoceni, zgonieni

I zapomną co miało być wypowiedziane
Dobranoc miasto sadzą przysypane...

Każdy z nas w brzuchu kobiety jest gwiazdą
Najpierw okrągłą gładko utoczoną
Tą ulgą po miłości, tą miękkości miazgą
Jeszcze w ból nie obrosła cierniową koroną

A potem gwiazda rośnie. Kolczaste promienie
Rozpierają przeponę. Potem imię kruche
Między uda rozdarte, napięte golenie
Ze światłem krzyku wschodzi nad kopułą brzucha

No cóż... ciało się skłębnie. Zapomną się rany
Obrosną ciemnym włosem na radość dla chłopów

Bo po cóż mają baby patrzeć ze łzami w oku
W te gwiazdy niedowzeszłe, w życiu utyłane.

Idzie ten chłopak. Takie głupie dziecko
Jakby na plecach jeszcze niósł tornister szkolny
Idzie z Zalesia, wędruje z Zapiecka
Ze szkółki, w której był najbardziej zdolny

Idzie ten chłopiec. Z wierszy się nauczył
Jak kochać Polskę i w ogóle ludzi
— I nie ma czego się nad chłopcem smucić
Trzeba go piąchą do życia obudzić —

I ja to zrobię
I wy to zrobicie
Poudzielamy tym chłopcom nauki
Będzie to celne
i dokładne bicie

Jak byśmy w zęby swe dzieciństwo tłukli.

Za ten strach co mam w sobie, za winy i długi
Znowu biegniemy rozliczać się z drugim

Po co mi patrzeć w lustro i twarz swą spowiadać
Jeszcze mogę wiatr chwycić i znowu ujadać

Lepiej jest przecie gonić niżli być goniony
Popatrzcie jak już merdam odważnie ogonem

Deszcz krew obmyje. Burza się przewali
Byśmy tylko wytrwali, gnali i czekali...

W spóźnionym autobusie — odtajali wreszcie
Z mrozu i wiatru, z długiego czekania
Patrzyliśmy przez szybę na zadymkę w mieście
Czuliśmy jak nam miękną i kisną ubrania
Jak pod butami błoto się rozpryska

Ktoś zaczął cichcem chrapać. Ktoś na tłok narzekał
Ktoś skarżył się że droga przed nami daleka

Za oknami równina stała. Biała. Śliska.
Jakbyśmy zamiast jechać do wymarżłych domów
Ruszyli w Polskę. Jeszcze nie znaną nikomu.

Po czym dom poznajemy?

— Ano, po zaduchu
Śmieci, co biją z zsyków niedomkniętych

Miasto?

— Ano, po twarzach, zmęczeniem pomiętych

Po czym Ojczyznę?

— Ano, po kochaniu
Które tak miękkie jest jak świerszca granie
I ginie w tym huczącym bełtaniu, gadaniu
I nie wiem czy się na wierzch wydostanie...

Nagle zapadła cisza. Pewno wszyscy w bloku
Wpatrzeni w telewizor. Pod tym czujnym okiem
Zapadają powoli we sny tak głębokie
Ze jeśli spojrzeć widzisz błogi spokój
Jak wonny dym ścielący się po całym kraju...

Tylko czemu to palce tak śpiącym latają
Jakby drząc się budzili? Czy noże ostrzyli?



Już za długo byliśmy cisi, tacy cisi
Ze ciszej być nie może już — Choćbyśmy chcieli
Jeszcze uśmiechać się uśmiechem lisim
Udawać, że nam „zęby z gęby wylecieli”.
To grzbiety nam twardnieją. Pysk nam się odmyka
I nawet ci co mają już zęby wybite
Podnoszą łeb i płaczą tak wilczym skowytem
Ze, kto nie ogłuchł w tym kraju, to bierze
Gromnicę w rękę i szeptem pacierze
Do swojego sumienia...

Patrz, ciągle błyskają
Płomyki w oknach. Ludzie się zrywają
Jakby ich w górę podrywał ten skowyt
Co luty czas zwiastować będzie narodowi...

Taka jest teraz moja Polska latem
Z powietrzem które wdychasz niby pył kamienny
Z łądogami kominów, kolorowym kwiatem
Siarki, żółci, zmęczenia...

Z tym południem ciemnym
Kiedy brud od koszuli przez skórę przecieka
Aż czujesz że ci w stawach od tej sadzy skrzypi
Kiedy słyszymy siebie jak z daleka

Chociaż każdy do ucha najbliższemu chrypi
Ten huk, ta maź, ta męka w której płoną głowy
I wszyscy pchają się naprzód w gorączce

I nikt nie wie czy znowu był to dzień jałowy
Czy coś zrobiły palce od zmęczenia drzące...

Tak niewinnym być łatwo
Tak przełknąć tutaj gładko
Co się głupio gadało

Nawet krew i łzy czyjeś
W ciemnościach burzy zmyjesz
I wyjdiesz cało — biało

Czasem chwileczkę w cieniu
W krótkim półutajeniu
Musisz goryczki liźnąć

Lecz po chwilce — udręce
Znowu masz cugle w ręce
I powozisz ojczyznę.



Ona koszulę moją pierze
I razem z mydłem w zlew przecieka
Zmieszany z strachem, ogniem, pyłem
Ten plot — gdy miałem być człowiekiem
A nie byłem

Ona koszulę mi prasuje
Tak ją w białości wygładzając
Niby opłatek na kołędę

Kiedy mnie jutro zapytają
Może będę

Znów dowcipów wybujało tyle
Jak szaleju na starej mogile

W tej gęstwinie cichcem przykucamy
Smakujemy piołun i gadamy

Z każdym słówkiem lżej nam ociupinę
Jakby kamień z serca buch w głębinę
Tak głęboko
Podziemnie
Daleko

Stuk

Puk

Stuk

Puk

O ojczyzny wieko

W bułgocie telewizji Wisła do nas płynie
Śpiewnie jak nigdy przez kraj nie płynęła
Jakby nie było brudu w jej głębinie
Jak gdyby się z radości a nie łzy zaczęła

Dopóki jeszcze trochę mamy wiary
W to co widzimy sami — dotknijmy palcami
Tego pęknięcia Polski. Gorzkiej rany starej
Niech się otworzy na nowo przed nami

Zanim nas ugadają. Zanim ogłuchniemy
Wsluchajmy się jak płynie ten nurt. Wolny — niemy
Co się latami wije, w mieliznach rozchodzi
By nagle buchnąć w okrutnej powodzi...



Śpijcie zmęczeni. śpijcie znużeni
Niech wam się przyśni samo milczenie
A w tym milczeniu, ciemnej głębinie
Niech każdy cicho przez noc przepłynie

Śpijcie bo czasu dla was jest mało
Za osiem godzin przyjdzie świtanie
Niech to co było na dnie zostało
I nie szukajcie co tam zostanie

Śpijcie zmęczeni, śpijcie znużeni
Chrupiąc, mamrocząc prawdziwe słowa
Może od jutra wszystko się zmieni
I nie będziemy tych słów mordować.

Śpijcie po drugiej stronie czuwania
Po tej jedwabnej stronie uśmiechu
Gdzie nikt odetchnąć jeszcze nie wzbrania
Uczcie się pierwszych ciepłych oddechów.

Boże, miłościw bądź roślince małej
Która się w nas podnosi, czasami zieleni
Żeby jej deszcze, wiatry nie złamały
Żeby dotrwała chociaż do jesieni

Boże, miłościw bądź wątłym korzeniem
Co się zaledwo mogą szczepić z ziemią
Pozwól tej bezradności dziecinnej przetrzymać
Niechaj ją jak pierzyna śniegiem skryje zima

Ja wiem, że tylko gorycz będzie wiosną
Bo te ździebełka w ledwo co wyrosną,
Może w trochę radości tak pełnej żałości
Że aż zimno przeniknie Cię do samej kości
Gdy spojrzysz na to coś dłonią okrywał
Ogrzewał swym oddechem, otulał uśmiechem

Ale bądź nam Twa ręka dalej miłościwa
Nad tym źdźbłem co jest nocą, światłem, dobrem,
grzechem...

Jadą husarze od pracy z połamanymi skrzydłami
Które jak grab ogromny skrywają pod płaszczami
Spoconymi palcami trzymają teczki kurczowo
Jakby w nich trwały zwinięte sławne chorągwie
bojowe

Kołyszą się pekaesy, tramwaje i wagony
Sen spada ludziom na twarze jak zakurzone zasłony
Każdy jest w sobie osobny. Dosiada biedę swojej
Wierci się w ciasnej kulbace kłuje nędzę obcasem
A ona człapie tępo przemyka się borem lasem
Zębami nas chwycić próbuje, strychuje się myśli
swoich
— Bo piasek do wpół brzucha, bo jałowizna po kłęby...

Więc budzi się husaria. Prostuje kości zziębłe
Pędzi galopem do domu by drzwi za sobą zatrzasnąć

I dzieciom ze skrzydeł ocalić choć piórka małego
jasność

Tam gdzie mi żadnej rzeczy, imienia żadnego
Opadła gwiazda z nieba wysokiego
I jakby żywą wodą były jej promienie
Zmieniła się pustynia w wielkie zielenienie.

Przez jedną noc pasterze z nagle obudzeni
Gnali swe stada w trawach wiosny i jesieni
I choć ich uszy przedtem tego nie słyszały
Pieśni im słodkie do gęby wpadały.

Więc je jedli jak jabłka o wiele nie dbając
Co niedojedli za się ogryzkiem rzucając.

I wszystko było w niebie dozwolone
I wszystko było z góry przebaczone.

Na tę kolędę — nockę, chwilkę zapomnienia
Gdy sianem odurzeni nie znamy cierpienia.

O nie. Tak być nie może jak zawsze bywało
Kiedy się chwilę niby polatało
I trzeba było jasne pióra zrzucić
I do pełzania pokornie powrócić

O nie, tak być nie może. I tak już nie będzie
Zebyśmy się nie mogli inaczej utrzymać
Jak tylko klęcząc. Jeśli ludzie wszędzie
Podniosą się, to dźwigną ojczyznę do lotu
I chociaż nikt z nas nie ma tej siły olbrzyma
To do pełzania już nie ma powrotu
I my musimy lecieć choć tak bardzo bolą
Skrzydła, chociaż przed nami ciemność i zmęczenie
Bo inaczej nam pełzać nawet nie pozwolą
A nasza mowa zmieni się w milczenie.



Warszawa — Katowice, sierpień 79 — listopad 80

W repertuarze:

„KRAKOWIACY I GÓRALE”

Wojciecha Bogusławskiego,
muzyka Jana Stefaniego

„MUSICABARET”

Jana Pietrzaka

„SŁOWIK”

Ernesta Brylla, muzyka Piotra Hertla

„PIRACI”

Williama Gilberta,
muzyka Arthura Sullivana

„BLIŹNIACY Z WENECJI”

balet według komedii Carlo Goldoniego,
muzyka Gioacchino Rossiniego.

W przygotowaniu:

„WIELKI ŚWIAT”

Wiesława Górnickiego, Jonasza Kofty
i Stefana Wenty, z muz. Jarosława
Kukulskiego

W sprawie zakupu biletów na przedstawienia naszego teatru
prosimy porozumiewać się z Biurem Obsługi Widzów.
Kierownik — Elli Ziełman.
tel. 21-78-16 oraz 20-95-21 wewn. 221, 222.

Opracowanie graficzne JERZY KRECHOWICZ

Wyd. III poszerzone

Drukarnia Gdańskich Zakładów Papierniczych w Sopocie
Zam. 155, nakł. 10 000

Cena 24,— zł

